

Jan Maciejewski: Z powrotem pojedziemy dalej. Naród jako stacja przesiadkowa Stanisława Brzozowskiego

Brzozowski odzyskuje ideę narodu, nie zostając w niej pogrążony. Nie zamierza pozostać na tej stacji, czekając aż podstawą po niego taksówkę któraś z wynaturzonych XX-wiecznych ideologii. Dworcowe głośniki ogłaszają właśnie, że na peronie trzecim zatrzymał się pociąg do Rzymu – pisze Jan Maciejewski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Idea narodu”.

Mieszkaniec Europy przez długi czas mógł mówić z pełnym zaufania spokojem „mój Bóg”. Potem, z nieoczekiwaną groźbą, ponuro mówił: „moja religia”. Jeszcze później z niezdrowym podnieceniem zaczął trajkotać: „moja ojczyzna, mój naród”. A teraz, z przekrwionym okiem, wydziera się obłudnie: „moja rasa”. I w tej właśnie chwili przestał być Europejczykiem.

Powyższy fragment z dziennika Sándora Márai’ego streszcza trasę prowadząca do przepaści, na dnie której w chwili zapisywania tych słów – pod koniec Drugiej Wojny Światowej – leżał roztrzaskany kontynent. Straty, jaka węgierskiemu pisarzowi wydawała się bezpowrotna. Zapewne dlatego, że sam był patrycjuszem. Świadomym, czerpiącym z tego faktu poczucie wewnętrznej godności i misji, członkiem warstwy mieszczańskiej. Świata, którego ciągłość opierała się na podtrzymywaniu niezmiennych form – towarzyskich, obyczajowych, ale

i intelektualnych czy kulturowych. Świata, będącego w stanie przetrwać w tych, których ukształtował – cały, pięciotomowy, prowadzony aż do śmierci dziennik Márai’ego jest tego wspinałym dowodem – ale niebędącego już w stanie określać i kształtować ludzi w żadnej formie dotąd niezastygłych. Europejskie mieszczaństwo jest w dziejach naszej kultury rozdziałem zamkniętym.

Dlatego Márai nie był w stanie choć przypuścić, że podróż o jakiej pisał może się odbyć również w przeciwnym kierunku. Pociąg naszej kultury będzie się w niej zatrzymywać na tych samych, ewentualnie położonych niedaleko od nich, stacjach. Taką właśnie trasę przebył w swoim krótkim życiu Stanisław Brzozowski. Piszę o życiu, a nie o myśli, ponieważ Brzozowski był przede wszystkim osobowością, intelektem w dużo mniejszym stopniu. Promieniująca, pozostawiająca głęboki ślad na naszej kulturze siłę ma on sam, nie jego książki. Jest gorączkowy, żarłoczny, chaotyczny. Urzekający poszczególnymi frazami, irytujący niezdiscyplinowaniem. Wśród kilkudziesięciu syntez składających się na „Główne nurty marksizmu” tylko w jego przypadku Leszek Kołakowski rozłożył bezradnie ręce – tej myśli nie dało się streścić. Brzozowski to żywioł, ale przede wszystkim pośpiech. Jakby przeczuwał, że jego życie trwać będzie jedyne 33 lata i wiedział jednocześnie, że przez ten czas nie tyle musi coś zrobić, co dokądś dotrzeć. Pożera książki nie trawiąc nigdy do końca zawartych w nich myśli. Jak przedzierający się nieprzetartym dotąd szlakiem podróżnik, który nie ma chwili by przystanąć i podziwiać krajobrazy, nasycić się przebyciem do tej pory dystansem. Wieczór się zbliża i dzień już się nachylił, a on wciąż nie dotarł do celu. Słysząc pierwsze głosy wśród nocy, nie zatrzymujcie go w drodze. Pozwólcie dalej błędzić, a być może wskażę wam właściwą drogę.

Człowiek bez narodu to dusza bez treści

Miejsce, jakie na Węgrzech i w wielu innych europejskich krajach zajmowało mieszczaństwo, w Polsce „zaklepała” inteligencja. Poniżej arystokracji, powyżej ludu. Ale to chyba jedyne z podobieństw między tymi dwoma zjawiskami. Brzozowski był inteligentem, a więc człowiekiem, który w przeciwieństwie do Márai’ego, swoją formę miał dopiero przed sobą. Był zawieszony między warstwami i sposobami istnienia. Nie mógł mieć nawyków ani przyzwyczajzeń, świat wokół nie mówił mu jak ma jeść, ubierać się, żyć. To dopiero on miał narzucić formę i treść światu. Inteligent nie przyjmuje na siebie roli, on wypełnia zadanie.

*To napięcie – odnaleźć
człowieka całego, we
wszystkich jego
uwarunkowaniach i
uwikłaniach, a jednocześnie
wynieść go ponad nie – było
dla Brzozowskiego najbardziej
dręczące*

W przypadku Brzozowskiego przyjęło ono formę podróży. Pierwszą ze stacji nie była „rasa” – jak w rozkładzie jazdy zarysowanym przez węgierskiego pisarza – ale „klasa”. Inna postać tego samego rozdrobnienia,

zamknięcia europejskiej duszy w ciasny gorset historycznych determinacji. I jeżeli jakaś logika kierowała następującymi po sobie krokami Brzozowskiego, to było nią właśnie rozpinanie kolejnych gorsetów. Z właściwą mu gorączkowością, drżącymi z niecierpliwości

palcami. Wzbijanie się powyżej pułapu narzucanego mu przez epokę i okoliczności. Celem, który od początku majaczył no horyzoncie tej podróży było ocalenie człowieczeństwa jako wartości absolutnej. A przy tym niewytłumaczalnej i niezrozumiałej bez społecznego i historycznego kontekstu, samej przez siebie abstrakcyjnie pustej. To właśnie napięcie – odnaleźć człowieka całego, we wszystkich jego uwarunkowaniach i uwikłaniach, a jednocześnie wynieść go ponad nie – było dla Brzozowskiego najbardziej dręczące i płodne zarazem.

Prawdziwym źródłem godności człowieka może być jedynie twórczość. A żeby móc się jej podjąć, trzeba mieć dla kogo. Mówić można jedynie w języku, który rozumieją inni. O rzeczach, jakie dotyczą ich w tym samym stopniu, co mnie samego. „Twórczość – pisał podejmując się mimo wszystko straceńczej próby podsumowania jakoś tej myśli Kołakowski – która nie jest związana z poczuciem obowiązku względem zastanej tradycji i historycznie powstałych skupisk energii społecznej, zaprzecza samej sobie; hodowanie autarkii lirycznej osobowego wnętrza jako wartości bezwzględnej oznacza, iż godzimy się wydać świat na łup obojętnych praw natury, a twórczość nasza nie polega wtedy na pozostawianiu w świecie śladów naszej obecności, lecz na ucieczce od świata”. Marksizmu Brzozowski nie rozumiał negatywnie, jako siły wyzwalającej z ucisku społecznych struktur, ale pozytywnie – jako wizję przedstawiającą klasę robotniczą w roli zbiorowego twórcy. Wolność jest ważna o tyle, o ile dzięki niej można stworzyć dzieło, świat.

Z tego samego powodu wysiadł on z czerwonego pociągu na stacji „Naród”. W „Ideach” pisał:

Wyrzec się bytu narodowego to znaczy wyrzec się wpływu na ukształtowanie rzeczywistości ludzkiej, to znaczy duszę własną unicestwić, bo ta żyje i działa tylko przez naród. Dlatego też pytań co do istnienia narodowego się nie stawia, bo znaczą one to samo, co pytanie czy chcemy być zdegradowani poniżej godności człowieka. (...) Człowiek bez narodu jest duszą bez treści, obojętną, niebezpieczną i szkodliwą. Dusza ludzka bowiem, to wytwór długiej zbiorowej walki, długiego zbiorowego tworzenia i tylko to ma w niej znaczenie co jest stare. Im bardziej twórcza jest nasza dusza, tym jest starsza”.

Nie po to tak zapalczywie Brzozowski zabiera się do rozrywania kolejnych, narzuconych przez los i historię gorsetów, by znaleźć pod nimi ziejącą zimnem pustkę abstrakcji. Szuka duszy, a ta obleczona jest zawsze w ciało. Im bardziej konkretne, namacalne tym wyraźniej odbije się w nim duchowa, napełniająca je życiem treść. Dlatego właśnie zaczyna od pewnego momentu, jak u Márai’ego, trajkotać „moja ojczyzna, mój naród”. I również, jak w opisie Węgry, z podnieceniem; tyle, że już nie tak niezdrowym. Brzozowski jedzie bowiem w drugą stronę, odbywa podróż powrotną. Odzyskuje ideę narodu, nie zostając w niej pogrążony. Nie zamierza pozostać na tej stacji, czekając aż podstawą po niego taksówkę któraś z wynaturzonych XX-wiecznych ideologii. Dworcowe głośniki ogłaszają właśnie, że na peronie trzecim zatrzymał się pociąg do Rzymu. Brzozowski chwyta zgromadzony podczas dotychczasowej drogi bagaż – Nietzschego, Marksa, Bergsona – i nie zastanawiając się długo wskakuje do środka.

Ostatni z gorsetów

Szukając cały czas konkretności, Brzozowski dociera do tego, co najbardziej fundamentalne. Każda abstrakcja – nawet tak historycznie uwiarygodniona jak kategoria narodu – jest zawsze przygodna. Tylko Absolut jest konieczny. Konsekwentnie próbując ocalić człowieka, Stanisław Brzozowski po prostu musiał wreszcie odnaleźć Boga. Jeżeli mamy znowu uwierzyć w absolutny, niepodważalny przez żadną modę, ideologię czy społeczny nastrój sens ludzkiego istnienia na tym świecie, musimy je oprzeć na czymś nieprzypadkowym. Wyrastającym ponad historię i przyrodę, nieograniczonym przez czas i przestrzeń. Co jednak wcale nie znaczy, że w czasie i przestrzeni nieobecny. Nie z Brzozowskim, nałogowym poszukiwaczem konkretności, takie numery. Kościół Katolicki był dla niego historycznym organem, za pośrednictwem którego człowieczeństwo komunikuje się z bytem bezwarunkowym i w ten sposób – jedyny możliwy – własny sens bezwarunkowy utwierdza.

Na końcu tej drogi, na łożu śmierci, mówi spokojnie i pewnie: mój Kościół, mój Bóg. Spowiada się, przyjmuje ostatnie namaszczenie i przystępuje do komunii. Opada nareszcie ostatni z gorsetów tego świata. Brzozowski spotyka się z Ciałem.

Ta osobowość, jej droga, promieniuje nadzieją nie z tego świata. Zabrania rozpaczać nad rozpadem kolejnych historycznych struktur i form, choć jednocześnie nie pozwala ich lekceważyć. Jeśli komuś udało się z tej podróży wyciągnąć wnioski na poziomie syntezy, to wyłącznie nieznanemu z pewnością Brzozowskiego Mikołajowi Bierdiajewowi. Ta biografia wskazuje na nieodzowność projektu, który Rosjanin

*Kościół Katolicki był dla
Brzozowskiego historycznym
organem, za pośrednictwem
którego człowieczeństwo
komunikuje się z bytem
bezwarunkowym i własny sens
bezwarunkowy utwierdza*

określił mianem
„Nowego
Średniowiecza”.
„Wszystkie drogi
humanizmu zostały
przemierzone,
chodzi o to, aby
wzniesić się ponad
humanizm” – pisał
on w książce o tym
tytule.

„Moment antropocentryzmu”, próba osadzenia godności ludzkiej w roli absolutu, jest dla nich obu konieczny, ale niewystarczający. „Bunt przeciwko władzy tego, co jest ogólne, co jest efektem obiektywizacji, wydaje mi się słuszny, święty i głęboko chrześcijański. Rewolucja personalistyczna, której jeszcze nie było w świecie, oznaczać będzie zrzucenie władzy obiektywizacji, zniszczenie naturalnego determinizmu, wyzwolenie podmiotów-osób, poryw ku innemu światu”. To akurat Bierdiajew, ale czy ma to jakiegokolwiek znaczenie? To zdanie mogli zapisać obaj, towarzysze tej samej podróży. Z powrotem, co wcale nie znaczy, że do punktu wyjścia.

W odpowiednich słowach udało się to ująć chyba tylko Kacze Katastrofie, ulubionej postaci literackiej mojej córki, towarzysze przygód Pana Kuleczki. Rozgoryczonej faktem zakończenia podróży, domagającej się od swego opiekuna: „Ale musi pan obiecać, że z powrotem pojedziemy dalej!”

Jan Maciejewski

Jan Maciejewski – (ur. 1990 r. w Mysłowicach) były redaktor naczelny kwartalnika „Pressje”, obecnie stały felietonista i współpracownik dziennika „Rzeczpospolita” i magazynu weekendowego „Plus Minus”.



Dofinansowano ze środków
Funduszu Patriotycznego

